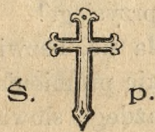




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



J. E. ks. biskup Antoni Baranowski.

Dnia 27-go z. m. depesze z Sejn rozniosły żalobną wieść o nagłym a nieprzewidzianym zgonie J. E. ks. Antoniego Baranowskiego, biskupa sejneńskiego i augustowskiego.

Śmierć nieubłagana zabrała w pełni sił człowieka pożytecznego, dzielnego pracownika, zanego kapłana, napawając smutkiem serca ogółu, a nadewszystko osieroconych dyecezyan, którzy w swym duchownym przewodniku stracili pieczołowitego ojca i opiekuna.

Wszyscy, którzy mieli sposobność obcować dłużej z J. E. ks. biskupem Antonim Baranowskim, uwielbiali prawy jego charakter i świętobliwość życia; nieszczęśliwi garnęli się po słowa otuchy, po radę i pomoc moralną i materyjalną, której nie szczędził z własnych funduszów.

Wyborny mówca i kaznodzieja, gromadził dokoła siebie tłumy słuchaczy, którzy odchodzili oświeceni, wzmocnieni, pokrzepieni wpływem jego słowa.

Syn ludu, — umiłował nadewszystko ten lud, wśród którego wyrósł, a własną niezmordowaną pracą i zasługą osiągnął wysoką godność dostojnika Kościoła.

J. E. ks. biskup Baranowski urodził się d. 17-go stycznia r. 1835-go, w gub. Kowieńskiej; po ukończeniu Seminarium w Worniach, kształcił się w Akademii duchownej w Petersburgu, którą ukończył ze stopniem magistra Św. Teologii. Po otrzymaniu święceń kapłań-

skich, w ciągu lat trzech spełniał posługi parafialne, aż w r. 1865-ym powołany został na stanowisko bibliotekarza, kapelana i profesora Teologii pasterskiej w Akademii duchownej w Petersburgu, w której też po jakimś czasie objął katedrę liturgiki i śpiewu kościelnego. W rok później przeniósł się do swej dye-

cezyi zmujdzkiej. W r. 1883-im zostaje prałatem-scholastykiem tejże kapituły, a w rok później prekonizowany przez Ojca Świętego Leona XIII-go na biskupa tytularnego terpańskiego i biskupa sufragana zmujdzkiego. Dnia 6-go czerwca konsekrowany w Petersburgu.

W trzy lata po śmierci biskupa sejneńskiego, ś. p. Piotra Wierzbowskiego, J. E. ksiądz Baranowski zostaje przeniesiony i mianowany biskupem w Sejnach, gdzie przez pięć lat (od r. 1897-go) pracował gorliwie i sumiennie dla dobra powierzonej mu dyecezyi.

Oprócz zajęć przywiązanych do stanowiska biskupa i kapłana, oddawał się z zamiłowaniem badaniom języków litewskiego i zmujdzkiego, którymi sam biegle władał. Akademia nauk w Petersburgu, wydała w druku jego rozprawę p. t. „O języku i słowniku litewskim,” nadto w Warszawie wyszło niedawno poważne studjum: „O progressyi transcendentalnej, oraz o skali i siłach umysłu ludzkiego.” Do końca życia pracował nad tłumaczeniem Pisma św. na język litewski.

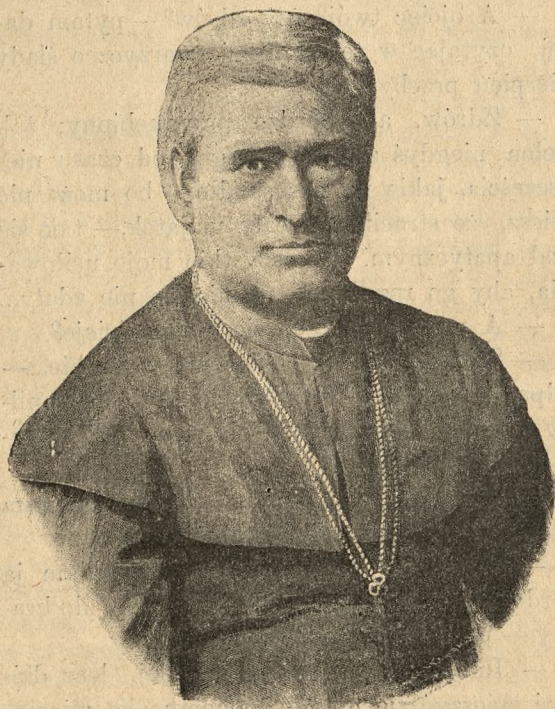
Pisywał także dzieła naukowe z dziedziny krajoznawstwa, i pieśni, oraz wiersze, odznaczające się talentem i podniosłym duchem religijnym.

Ze śmiercią ś. p. ks. biskupa Antoniego Baranowskiego ubywa pożyteczny i bogobojny pracownik na niwie społecznej i zasłużony pasterz w dziejach Kościoła.

Niechaj do grobu poniesie z sobą lży żalu i wdzięczności tych, którym niósł swe serce, słowa i czyny w ofierze całego życia.

Cześć pamięci zanego człowieka i kapłana! Pokój mu wieczny!...

X. X.



J. E. ks. biskup Antoni Baranowski.

cezyi w Kownie, gdzie został profesorem Seminarium miejscowego.

W uznaniu zasług i ośmioletniej pracy pedagogicznej ś. p. ks. Baranowskiego, ówczesny biskup kowieński, ś. p. ks. Wołonczewski, mianował Go inspektorem tegoż Seminarium, a w r. 1879-ym kanonikiem gremialnym ka-

W noc św. Andrzeja.

Opowiadanie.



(Dokończenie).

Około północy uciszyło się wszystko w starym dworcu, goście odjechali, światła pogaśły, i właśnie kukulka na staroświeckim zegarze wygłosić miała dwunastą, gdy drzwi salonu otwarły się z cicha i weszła postać biała, obzierając się lekliwie na wszystkie strony i nad słuchując każdego szmeru.

Twarzyczka uczerniona, oczy błyszczące ciekawie, dziwnie odbijały od śnieżnej bieli ubrania. Gdyby nie krótkie złote włosy, buntowniczo piętrzące się nad czołem, trudno byłoby domyśleć się Lorci.

Usiadła na taburecie pod zwierciadłem, zapaliła stojące obok świece i spoglądając co chwila na zegar, oczekiwała wyroczonej godziny.

Cisza, panująca w całym domu, trochę ją przerażała, siedziała przecież wytrwale, wpatrując się ciekawie w lustro.

— Ku-ku! ku-ku! ku-ku!... — ozwała się kukulka, północ oznajmiając.

Lorca drgnęła... Wszystkie baśnie o strachach i duchach, zasłyszane w dzieciństwie, żywo stanęły jej w pamięci... serduszek bić przędko zaczęło... chciała uciekać... lecz nogi zdrętwiały z przerażenia, jak gdyby wrosły w ziemię...

Wtem kotara u drzwi wchodowych nawprost zwierciadła poruszyła się zlekka, i zaczęła rozchyłać powoli. Lorcia zmartwiała... i jak oczarowana, rozszerzonymi zrenicami wpatrywała się w zwierciadło.

Z cieniów, zalegających obszerny salon, wysunęła się i odbiła w zwierciadle... imponująca postawa i niezwykle okazałe wąsy...

— Tatusi!... — krzyknęła, zrywając się z siedzenia, oprzytomniała nagle dziewczyna.

— Chryste Panie!... toż to Lorcia!... Dali bóg, rodzonej córki poznać nie mogłem!... Czyś ty sfiksowała, czy co, dziewczyno? co znaczy to przebranie? wyglądasz, jak najczystszej krwi Murzynka!... Tfy! do kaduka! co też tym kobietom za głupstwa po głowach chodzą! co ty tu robisz po nocy? gadaj mi zaraz!...

— Tatuńciu kochany... ja tylko... ja chciałam... — bąka Lorcia zawstydzona i urywa, zalewając się łzami.

— No dobrze już, dobrze, tylko mi nie płacz... jutro wszystko opowiesz, a teraz idź spać!... Myślałem: złodzieje w salonie, czy kij dyabeł, bo i z kądem do stu tysięcy światło o tej porze? No, no, dobranoc... Idź już, idź!...

Ciężkie, ołowiane chmury pokryły całkowicie błękit niebios, wązkiemi pasami widniejącej między szeregami domów; deszczyk drobny, lecz ani na chwilę nieustający, świst wichru i przejmujące zimno, złożyły się na całość dziwnie smutną i przygnębiającą.

Wracałam wieczorem z lekcji, zmoknięta i przeziębła do kości, myśląc o ciepłym mieszkanku, do którego dążyłam.

Nie były to tak obszerne komnaty, — jak

w naszym starym dworcu, — wśród których ubiegły mi moje dziecinne lata, ale spokojny, miły kącik, gdzie mogłam wypocząć po całodziennej, nużącej pracy.

Mimowoli myśli moje pobiegły wstecz, do owej szczęśliwszej — w starym, a na zawsze utraconym dworcu — przeszłości, do złotowłosej Lorci z Topolina, mojej serdecznej, niezapomnianej przyjaciółki...

Co się też z nią dzieje?... Od lat już kilku opuściwszy tamte strony, nic o niej nie słyszałam.

Czy się sprawdziły wróżby starej Jakobowej, i trzpiotowata niegdyś Lorcia, jest dziś może poważną panią Stefanową w Opolu?

— Dziś, tak właśnie dziś, upływa pięć lat od owego wesołego wieczoru, spędzonego w Topolinie, w wigilię św. Andrzeja... — myślałam, brnąc dalej po błocie, wśród mgły wieczornej i zimna przenikliwego.

Wtem wiatr zawył z większą siłą na rogu ulicy Elektoralnej. Parasol, trzymany słabo, drętwiejąca od chłodu ręką, pochylił się nagle, uderzając mijającą mnie właśnie kobietę.

— Och, przepraszam panią najmocniej! — wyjąkałam zmieszana i stanęłam zdumiona.

Blask lampy gazowej oświecał teraz w całej pełni krótkie złote włosy i czarne oczy błyszczące gorączkowo w twarzy bladej i smutnej.

— Lorciu!... czy to ty jesteś?... — pytam, własnym oczom nie wierząc.

— Nie poznajesz mnie, Kasiu? — uśmiechnęła się smutnie, — nic dziwnego, zmieniłam się bardzo.

— Więc mieszkasz w Warszawie? nie o tem nie wiedziałam...

— Dopiero od kilku miesięcy; ale, jak widzę, idziemy w jedną stronę, pójdźmy więc razem!

— A ojciec twój? czy zdrow? — pytam dalej, czytając w tej smutnej twarzyczce ślady cierpień przebytych.

— Zdrow, ale bardzo przygnębiony; tak pełen niegdyś życia i energii, od czasu nieszczęścia, jakie na nas spadło — bo może nie wiesz, że straciliśmy cały majątek, — tak się stał apatycznym, że wszystkie moje usiłowania, aby go rozerwać, na nic się nie zdały...

— A pan Stefan? co się z nim dzieje?

— Stefan... od trzech lat już w grobie... — odparła z cicha, — o! gdyby on żył, uchroniłby nas od tego nieszczęścia, on, taki rozumny i szlachetny...

I łza gorąca zapaliła na chwilę dawnym blaskiem te oczy, tak niegdyś promienne.

— Wejdz do mnie, Lorciu! — prosiłam ją serdecznie, bo właśnie dochodziłyśmy do bramy, — porozmawiamy swobodniej.

— Innym razem jak najchętniej, lecz dzisiaj spieszyć się muszę do domu, bo mi mają przysłać suknię do roboty. Zostałam, widzisz, szwaczka! — dodała, uśmiechając się już z lekka.

— Cóż chcesz, moja droga, przy odpowiednim uzdolnieniu i wrodzonym guście, to zajęcie bardzo korzystne!

— Ja nie pragnę wiele! — przerwała mi gorąco, — byle tylko biedny mój ojciec nie zaznał niedostatku na stare lata, a jam nikomu ciężarem nie była, to mój ideał szczęścia!

— Pewną jestem, że go osiągniesz — doda-

łam, ściskając ją serdecznie, — do widzenia, Lorciu, a nie zapomnij o przyrzeczeniu i odwieść mnie wkrótce!

— O, niezawodnie! skoro tylko znajdę wolną chwilę. Dobranoc, Kasiu!

Wchodziłam na schody z sercem ściśniętym boleśnie. Więc i tej dobrej, wesołej, pieszczonaj Lorci, nie oszczędziły losy... A przyszłość jej tak promiennie zdawała się zapowiadać! Młoda, piękna, majątna, ubóstwana przez ojca i dzielnego, szlachetnego młodziana, któremu odwzajemniała się sercem całym, zda się, zapewnione miała życie wolne od trosk i niedostatku.

Jak dziś, pamiętam chwilę, gdy opuszczając na zawsze swoją wioskę rodzinną, przybyłam pożegnać drogich mi mieszkańców Topolina.

Siedziałyśmy obie na ławce w ogrodzie; czarne świerki i wiotkie brzoźki pochylone nad złotą główką Lorci, zdawały się chcieć uchronić ją nawet od wiatru powiewu.

Przykrótka jeszcze sukienka dziewczyny, odsłaniała niedyskretnie nóżki, obute w wysokie buciki, co ją widocznie niepokoiło i mieszało; a przed nią, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, drobną postać ukochanej tkliwym obejmując spojrzeniem, stał pan Stefan, deklamując urywek, który widocznie dobrym był tłómaczem jego uczuć, bo gdy wymawiał:

„Wśród życia drogi, kwiaty ślać będę pod twoje nogi,“ — taka prawda i zapal dźwięczały w jego głosie, jak gdyby uroczystą na całe życie składał przysięgę!

Lorca rumieniła się, bezwiednie może ulegając uczuciu, jakie promieniało z oczu chłopca i płynęło z każdego słowa.

Biedne, młode serduszek trwożliwie kołatało w jej piersi, jak ptaszek w rękę swawolnika.

Pragnęłaby uciec, wyrwać się z pod wpływu tego czaru, jaki na nią wywierał ukochany, lecz — sił nie stało... Pochyliła główkę i wpatrywała się w żwir, zalegający uliczkę, jak gdyby tam odpowiedzi szukała na gorące słowa Stefana.

Wtem zaszumiąły gałęzie starej, spróchniałej lipy w pobliskiej gęstwinie.

Jakis ciemny ptak przemknął w górę nad naszymi głowami i zniknął w cieniach zapadającego wieczoru.

— O! mój Boże, sowa!... — wstrząsnęła się Lorcia, z zabobonnym niemal przestrawem.

— Sowa! — jak echo powtórzył Stefan, widocznie niemile też dotknięty.

Dziś, gdy przypominam sobie to wszystko, nie mogę się oprzeć myśli, że posępny ptak ten, był symbolem nieszczęść, jakie na biedną mą przyjaciółkę wkrótce spaść miały.

Ze wszystkich darów Bożych utraconych kolejno, pozostał jeden, lecz największy może, wielka, głęboka miłość starego ojca, którego jedynym oparciem i pociechą się stała.

A więc sprawdziły się prorocze słowa starej Jakobowej: „Swemu kochaniu panienka całe życie wiary dochowasz.“

— O, tak — dochowała!

Wanda C.



„Zabawy ograniczały się w tym czasie do muzyki, widowisk pana Todorowicza ¹⁾ i Teatru mechanicznego ²⁾. Dnia 17-go Pan Chopin dawał koncert wokalny i instrumentalny. Mnóstwo było osób. Pani Mejerowa uprzyjemniła wieczór spiewem, a waltornista Gerner swoim talentem. Pan Chopin jest u nas prawdziwym zjawiskiem. Wszyscy z uniesieniem wielbią nadzwyczajny talent tego młodego wirtuoza, niektórzy nawet wróżą w nim nowego Mozarta. I w rzeczy samej, ktokolwiek zna martwy instrument, jakim jest fortepian, a słyszał pana Chopin, ten nie może się wydziwić, ażeby czucia wrodzone i *tuss* nie naśladowany mógł takie życie grze jego nadać. Pan Chopin jest całkiem narodową własnością, bo uczył się muzyki u pana Żywny, a kompozycyji muzycznej od naszego zamego Elsnera ³⁾).

Dnia 21-go marca wyczytali prenumeratorem „Kuryera Warszawskiego“ w nrze 78 tego pisma taką między innymi wiadomość: „Jutro w Teatrze Narodowym 2-gi Koncert Jp. Szopena. Na ogólne żądanie powtórzy on „Adażo“ i „Rondo“ z powszechnem zadowoleniem przyjęte, będzie oraz *Improwizować* z tematów podanych mu przez kogobadź z obecnych.“ Nazajutrz „Gazeta Polska“, która zajęła stanowisko wyczekujące wobec Chopina, nie zamieściwszy żadnego sprawozdania z jego pierwszego koncertu, teraz, w sam dzień jego drugiego wystąpienia, poprzestała na suchem poinformowaniu swych czytelników, że dziś „Jpan Fryderyk Chopin będzie miał zaszczyt dać drugi i ostatni koncert instrumentalny i wokalny ⁴⁾. W tem ceremonialnem będzie miał zaszczyt, jak i w tem nazwaniu koncertu *wokalnym i instrumentalnym*, bez napomknięcia o tem, że na tym koncercie artysta grać będzie *na fortepianie* swe własne kompozycyje, tkwiła odrobina niechęci, która zresztą ujawniła się niebawem...

Tymczasem nadszedł dzień 22-go marca; odbył się drugi koncert Chopina. Tym razem zdecydował się grać na wiedeńskim fortepianie koncertowym, albowiem był przekonany, że jeśli za pierwszym razem grał za cicho, to nie było to z jego winy, lecz z winy instrumentu, który o ile dobrze brzmiał w małym salonie, o tyle na wielką salę teatralną nie posiadał dostatecznie silnego tonu ⁵⁾. Drugi ten koncert udał się w wyższym jeszcze stopniu, aniżeli poprzedni. Publiczności zebrało się tyle, ile tylko mógł pomieścić teatr na placu Krasińskich, wrażenie zaś, jakie czyniła gra Chopina, dosięgło szczytu. Jakoż zadowolony był z siebie dnia tego zupełnie, a pisząc do Wojciechowskiego, tak mu to swoje powtórne wystąpienie publiczne opisał: „Drugie koncert zaczął się od „Symfonii“ Nowakowskiego (*par complaisance*), poczem znów (na ogólne żądanie grać musiałem) pierwsze „Allegro“ z „Koncertu.“ Następnie Bielawski, koncertmistrz teatru, zagrał „Waryacje“ Beriota, po nim ja „Adagio“ i „Rondo.“ Drugą część rozpocząłem „Rondem krakowskim.“ Majerowa spiewała arję Solivy z opery „Helena i Malwina,“ nareszcie improwi-

zowałem na temat pieśni ludowej: „W mieście dziwne obyczaje,“ co się pierwszopiętrowym łozom bardzo podobało. Jeżeli ci mam szczerze powiedzieć, to improwizowałem nie tak, jak miałem ochotę, bo to nie dla takiego swiata było. Mimo to jednak dziwię się, że „Adagio“ tak powszechny efekt zrobiło, bo gdzie się obróce, tylko mi „Adagio“ przypominają. Kiedy mnie wywoływano, krzyczano, abym jeszcze trzeci dał koncert. „Rondo Krakowiak“ ogromny efekt zrobiło: cztery razy ponawiano oklaski. Kurpiński żałował, że na wiedeńskim fortepianie nie grał „Fantazyi,“ czego się nawet nazajutrz w „Kuryerze Polskim“ Grzymała domagał. Elsner powiedział, że po drugim koncercie dopiero mogą o mnie sądzić, lubo ja ci szczerze powiem, że wolałbym być na swoim grać. Głosem to jest jednak powszechnym, że instrument lepiej był zastosowany do miejscowości. Dopiero jeszcze liczniej, niż na pierwszym koncercie zebrana publiczność zadowolona była; dopiero oklaski, pochwały, że każda nutka, jak perelka wybita i zaokrąglona, że na drugim lepiej grałem, niż na pierwszym i t. p. Między głosami parterowemi, wołającemi, abym grał raz jeszcze, odezwał się jeden: *Na Ratuszu!* — tak głośno, że sam na scenie słyszał. Ale wątpię, że bym go usłuchał, bo jeżeli dam, to pewno znów w teatrze. Zresztą przed świętami mam nadzieję skończyć pierwsze „Allegro“ drugiego „Koncertu,“ a zatem zaczekam, aż po świętach, chociaż wiem, że i teraz jeszcze więcej mógłbym mieć słuchaczy, bo cały wielki świat mało mnie słyszał. Nie idzie mi o dochód, bo i w teatrze nie wiele mi przyniósł, ponieważ kasyer robił, co chciał, gdyż jemu się wszystko zdało. Z obu koncertów, odtrąciwszy koszta, nie było 5,000 złotych, lubo Redaktor „Kuryera Warszawskiego“ Dmuszewski wspomniął, że fortepianowego koncertu nie było jeszcze tak liczego, jak pierwszy, a tem bardziej drugi. Lecz idzie mi o to, że w ratuszu nie z mniejszym ambarasem, niewiele większym efektem grałbym także nie dla wszystkich.“

Na drugim koncercie obecnym był między innymi muzykami także i niejaki Dunst, bawiący przejazdem w Warszawie. Zachwycony grą Chopina, zapoznawszy się z nim, koniecznie go szampanem poczęstować pragnął. O epizodzie tym, zabawnym przez to głównie, że owego Dunsta przez chwilę miano za Fielda, pisał Chopin w kilka dni później do Wojciechowskiego: „Ten, co mię na drugim koncercie koniecznie szampanem chciał częstować, ów Francuz z Petersburga, co go za Fielda miano, jest to jeden z uczniów Konserwatorium paryzkiego. Zowie się Dunst. Dawał on koncerta w Petersburgu i wiodły mu się dobrze: musi więc grać niepospolicie. Dziwno ci pewno, że Francuz z Petersburga i niemieckie nosi nazwisko.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z LEGEND MAZURSKICH.



Jałowiec.

Chodziła sobie Najświętsza Panna po świecie, chodziła; wiadomo, nie w bogactwie była zrodzona, jeno z ubóstwem się porała, jako i druga.

Jeno, że w ubóstwie onem z Rodzicami swemi mieszkając, najbogatszą była z bogatych, boć miłość Bożą i wielką enotę w sercu chowała, aby też najmniejszym duszyczka Jej, ni ciało nie splamiło się grzechem.

Rączkami też swemi pracując, ubóstwo swoje nosiła, jakoby druga i najpiękniejszej korony nie niosła.

Razu pewnego, kiedy to wichry odarły już wszelakie drzewa z liścienia, a ziemia porajac się z mrozem, tam i sam dobrze się już zciela, poszła Najświętsza Panna do lasu, by zbierać coś nie coś na opał.

Chodzi nieboga, chodzi, alic by jednej gałązki na ziemi, nawet i szyszki gdzieś się podziały...

Drzewa popodnosiły wysoko gałęzie, szumią twardo i hardo, ale żadne nie spuści choćby najdrobniejszej gałązki.

Już i słonko ma się ku zachodowi, jako, że podczas wcześniej się do snu zwykło układać, a Najświętsza Panna ani żdźbła nie zbierała.

Idzie więc i myśli:

— Przy czem ja też to strawę uwarzę i przy czem Rodzice zziębnięte członeczki ogrzeją?

Myśli — ale się nie frasuje, boć sercem przeczystem ufa, że Ojciec Niebieski ma Ją w Swojej opiece, jako ma wszelakie stworzenie, a też i najpodlejszą choćby roślinę.

Idzie więc, przyspiewując na Jego chwały, aż tu patrzy, na drodze, którą teraz obróciła, rosna krzaczuchny mniejsze i większe. Ale to takie marne, popłatane, tuż prawie przy samej ziemi, — mało który w drzeweczko z koroną się wypchnął.

Cale też osypane zielonemi jagodami, ale poniektóre się i czernią

Uszczknęła jedną, a że to i głodna i pragnąca była, wzięła ją do usteczek.

Aleć jagoda ni soku, ni słodczy, jeno gorycz Jej została w usciech.

Gorycz, ale i zapach taki woniejący, jako kadzidło, co je Najwyższemu na ofiarę spalają.

Pojrzy, a tu w podolek Jej sukienki, a w jej zapaskę moc owych jagódek się zsula.

Uśmiechnęła się, że to Jej Pan Bóg takie jagódki miasto paliwa zesłał.

Chce odejść, a tu one mizerne krzaczuchny czepiają się Jej sukienki, jakby się napraszały, żeby je z sobą zabrała,

— A niechajże Najwyższy Ojciec, choć inne drzewa z liścia ogoloci, wam zawsze zielone igielki zostawił — westchnęła Najświętsza Panna.

I ułożywszy z onych wiązkę, do dom, do swoich Rodziców odeszła.

A jako Najświętsza Paniienka uprosiła, tak też jałowiec, na najgorszej bodaj ziemi wyrośnie, a choć i mróz ściśnie, i inne krzewiny zmarnieją, on zawsze w pięknej swojej zieleni chadza.

Z. Morawska.



Z twórczości powieściowej Albionu.



II.

Pisząc o Walterze Besant, zaznaczyłem dobitnie kierunek jego socyalny, a to z tej przyczyny, że chcę dziś zwrócić się do powieści o kierunku również socyalnym, odmiennym od tamtego, a reprezentowanym przez pisarza o niemniejszym talencie.

Podczas gdy Besant do czerwonosci rozpałał żądzę działania uszlachetniającego na proletaryat, przyjscia z pomocą nędzy i upadkowi, sceptycy oblewali ten prąd zimną wodą

¹⁾ Sztuki gimnastyczne.

²⁾ Pana Jordaki Kuparenko.

³⁾ Zob. „Dekameron Polski“ № 2-gi, z dnia 31-go marca r. 1830, str. 359—360.

⁴⁾ „Gazeta Polska“ № 78-my, z dnia 22-go marca roku 1830-go.

⁵⁾ „Domyśliłem się, gdzie ta energia siedzi (którą mu doradzał Mochnacki) i na drugim koncercie nie na swoim, ale na wiedeńskim grałem instrumentem.“ Z listu do Wojciechowskiego.

ironii nie dlatego, że potępiali szlachetne, czyste pobudki tego wzniosłego ruchu, ale że trzeźwiejsi i bardziej rozczerowani doświadczeniem, [nie wierzą, aby tym błędnym rycerzom, idącym ku wschodowi, udało się uszlachetnić, podnieść, ucywilizować dzieć, tworzącą najniższą warstwę społeczną Londynu.

Zdaniem tych pesymistów do „pałaców ludowych“ *palaces for the people*, dokoła osad uniwersyteckich, na wykłady i koncerty „ludowe“ zbiera się ludność nieoświecona, uboga, nawet zupełnie biedna, ale jeszcze przyzwoita, schludna i spokojna, arystokracja ubóstwa, świat drobnych rzemieślników i małego przemysłu, porządnych rękodzielników i pracowitych robotników. Ale ztamtąd daleko jeszcze do otchłani barbarzyństwa i niedoli, kryjącej się w niektórych niedostępnych prawie kątach największej w świecie stolicy. Mętów społecznych tam zebranych nie potrafią zciągnąć ku sobie młodzi filantropi, ani też nie zdołali wdrzeć się w te nieznane krainy, wkroczyć w tę *città dolente* ostatecznej nędzy.

Ten prąd pesymistyczny przejawia się dziś wyraziście w powieściopisarstwie angielskim. Piszący myśliciele ironicznie uśmiechają się nad działaniem Kolumbów East-Endu, mniemających, że zbadali już wszystkie niedole, przełamali wszystkie lody, znaleźli kordyał, kojący ludzkie waśni i rany społeczne. Ci sceptycy wiedzą nas w te krainy, kędy dotąd żadna się nie zjawiała ręka pomocna, dokąd nie doszło słowo pociechy i ukojenia, gdzieby wszelkie próby zbliżenia rozbiły się o opór i upór dzikiej, wynędzniałej tłuszczy. Nieraz przychodzi słyszeć o kontrastach barbarzyństwa i cywilizacji, sąsiadujących obok siebie w olbrzymich stolicach. Nieraz z Londynu dochodzą wieści o zbrodniach, których powstydzilyby się najdziksze hordy barbarzyńców, a z dzielnic opuszczonych i zostawionych sobie odzywa się raz po raz głos taki, jak ów pamiętny „Cry of oucasl London,“ co wstrząsnął jakby prąd elektryczny o bajecznej sile całym organizmem narodu, wstrząsnął go swą rozpaczną, przenikliwą skargą opuszczonych zupełnie i wydziedziczonych.

Przoduje w tym kierunku p. Artur Morrison, o którego kilku powieściach chcę tu napisać *). Jest to skrajny realista, pozbawiony przytem wszelkiego liryzmu. On to głosi hasło, że wszystkie szlachetniejsze pierwiastki giną w duszach wydziedziczonych, wytepięone są niepowrotnie w sercach, znających tylko poczucie krzywdy i nędzę. Nic nie rozjaśnia tej ciemni, nie łagodzi dzikości, nie zciera barbarzyństwa. Wstrząsa rozdźwięcznym kontrastem najwyższej cywilizacji, najwytworniejszej kultury i wystawności, olbrzymiego bogactwa, rozpieszczających się tuż obok siedlisk ciemnoty i nor zepsucia, straszniejszych i gorszych, niż Dantejskie piekło.

Wymownym wyrazem tendencji autora jest epigraf postawiony na czele powieści „A child of the Jago,“ wyjęty ze Starego Testamentu. „Biada prorokom głupim, którzy idą za duchem swoim, a nie nie widzą... Przetoż, że zwiedli lud mój, mówiąc: „Pokój,“

a nie masz pokoju, a ten budował ścianę, a ci polepiali ją gliną bez plew. Mów do tych, którzy polepiają bez przysady, że upadnie, bo będzie deszcz zalewający i kamienie wielkie z wierzchu padające i wiatr wichru rozwalający. Bo oto spadła ściana i żali wam nie rzeką: „Gdzież lepienie, któreście lepiłi?...“ Temi słowy proroka Ezechiela autor piętnuje ślepy, jego zdaniem, kierunek sentymentalnego miłosierdzia, nie przenikającego do dna przepaści nędzy zepsucia i zaniedbania warstw wydziedziczonych. W powieści swej daje nam tę ochłan w całej, nagiej grozie bezmiernego zdziczenia i strasznej niedoli.

„Jago“ to pograniczna dzielnica londyńskiego East-Endu, matecznik, niezbadana dotąd do samego jądra przepastna kraina wydziedziczonych. Poznajemy ją w czasie skwaru letniego, który jest nieznośną męczarnią w tych przeludnionych rojowiskach krainy nędzarzy, którym nawet noc nie przynosi ulgi i ochłody.

„A child of the Jago“ to Dick Perrot, chłopiec urodzony z ucziwej matki, który nieszczęściem w tym kącie przyszedł na świat, wzrósł w tej atmosferze nienawiści, gwałtów codziennych, nędzy i zepsucia. Dick ma jakieś szlachetniejsze aspiracje, ale te marnieją w znieprawiającem go środowisku. Bo „Jago“ nie puści już nigdy swej własności; kto tu raz wpadł, już się wyrwać nie zdoła i swobody nie odzyska.

Siła pięści i zręczność rozstrzygają o stanowisku hierarchicznym jednostki; zemsta i solidarność, oto jedyne dogmaty i zasady. Wchodzimy w atmosferę podobną strasznej, gnębiącej atmosferze „Martwego domu“ Dostojewskiego. Każdy tu gotów obedrzyć drugiego, ale nikt nikogo nigdy nie wyda znieprawionej władzy policyjnej. Widząc same przykłady rozboju i złodziejstwa, Dick idzie w ślady starszych i uczestnicząc w zgromadzeniu towarzystwa ku podniesieniu i umoralnieniu ubogich, które, nawiasem mówiąc, wydrwione jest nielitościwie, korzysta z ciżby, aby zaproszonemu na to zebranie dostojnikowi „zciągnąć“ zegarek. Pierwszy swój łup odnosi ojcu. Ten jakkolwiek takim samym przemyśłem utrzymuje swą rodzinę, czuje się w obowiązku skarcieć przedczesne naśladownictwo swego pierworodnego, odbiera mu zdobycz, ale ani myśli odnieść ją prawemu właścicielowi, tylko spieszy spieniężyć zegarek u „Aarona.“ Rola tego żyda identyczna roli takich indywidualiów w naszym społeczeństwie. Aaron Weech prowadzi głównie interes zamienny; za wszystko, co mu przyniosą, nie badając pochodzenia, płaci gotówką, albo w naturze, wszystkich ma w rękę, każdego pcha do kradzieży, na którą sam bezpośrednio-by się nigdy nie odważył, ale z której żyje; handlując wyłącznie skradzionymi rzeczami, nie dopuszcza, by który z jego klientów wziął się do ucziwej pracy, udaremnia wszystkimi siłami zabiegi proboszcza, zmierzające do odrodzenia parafii ucziwem zajęciem, ucziwym zarobkiem, umie i gotów jest wszystkich wyzyskać, wszystkich zdradzić, wszystkich sprzedać, jeśli tego interes wymaga. „Tout comme chez nous.“ Ta niewola żydowska, zależność całej dzielnicy od żyda, spętanie jej pysznie osnutą siecią w rękę jednego lichwiarza, to wszystko *mutatis*

mutandis przenieść się da w inne strony, inne stosunki; zamiast Aaronów są Moszki i Icki, trzymające w garści całe osady, demoralizujące je systematyczne, nie dające wyrwać się ze szponów i jać się pracy dodatkowej. Aż wreszcie tak tu, jak i tam struna pęka, ofiara przejrzawszy swe położenie, bierze odwet, tak samo, jak ojciec Dicka, który pewnej nocy, uczestnicząc w napadzie z włamaniem na rzekome skarby Aarona, zabija go w paroksyzmie ślepej nienawiści i idzie na szubienicę. Nazajutrz po straceniu ojca, Dick zrozpaczony wybiega na ulicę, z żądzą odwetu, a przynajmniej jakiego gwałtownego czynu. Wpada między bijących się z sobą uliczników, mięsza się w ich walkę, podstępnie zraniony nożem, umiera z uśmiechem, nie wydając jednak swego mordercy i mileży do końca, w dowód bezwzględnej solidarności tej falangi zdziczałych nędzarzy.

Krótkie a groźne opowiadanie angielskiego pisarza uderza swą realistyczną prawdą, przejawiającą się szczególnie w mnóstwie drastycznych epizodów strasznej nędzy, straszliwego zaniku wszelkiej idei moralnej, okropnego zdziczenia. Rozbija się o ten szkopuł nieprzeparty wytrwała działalność katolickiego pasterza tej zaniedbanej dotąd i zapomnianej parafii; stanowczy i praktyczny ksiądz odrazu widzi, że tu trzeba złe w korzeniu podciąć i wyplenić. A wszystko to dane jest bez najmniejszego liryzmu, bez śladu jakiegokolwiek wzruszenia, bez najmniejszego promyka poezji; widoczne jest najwyraźniej, że autor panuje nad sobą bezwzględnie. Mnóstwo zagadnień piekących, domagających się jak najspieszniejszego rozwiązania przesuwają się jedno po drugim, a ostatecznym ekstraktem jest postawiona nad wszystko zasada, że nie poradzi złemu, kto mu się nie przypatrzy w nagiej ohydzie.

Zbiór nowelek „Tales of mean streets,“ zebranych po zaułkach i zakamarkach „najlichszych ulic“ zdobył p. Morrisonowi nie zmniejszającą się odtąd poczytność i powodzenie. W tych analitycznych studyach, wykonanych „in anima vili,“ przewodnim motywem jest stwierdzenie zupełnego braku jakiegokolwiek lepszych, litościwszych uczuć w zdziczałych na wskrós duszach nędzarzy. I w pierwszej z tych nowel, ta rozpaczliwie smutna charakterystyka tej odciętej od wszystkiego krainy: „Żadne zewnętrzne zdarzenie nie zdoła tu wywołać wrażenia, ni zmiany. Narody mogą ginąć, państwa i rządy się walić, tu bezbarwny dzionek upłynie znowu tak, jak wczorajszy nikał, jak jutrzejszy przejdzie. I cóż, że gdzieindziej toczą się walki, zcierają się stronnictwa, obchodzą się wszelkie, ogólne święta; nie z tego nie przypieszy, ani nie powstrzyma kroków przechodzącej tędy, szarej rzeszy. Nic, okrom bezrobocia, nie zdoła tu poruszyć tłumu. Nikt się tu nie śmieje, życie zanadto poważną jest sprawą; nikt nie posłyszys piosnki, ni śmiechu. Nawet gdy światło miłości rozświeci przelotnym promykiem jakiś zakątek tej smutnej dzielnicy, to przedwcześnie świta i przedwcześnie ugasa, jakby przytłumione kurzawą i pyłem. Dzieci tu nie brak, owszem liczba ich wciąż rośnie. Jeden po drugim jawią się ci maluczy przychodnie, skazani

*) „Tales of mean streets;“ „A child of the Jago;“ „To London Town;“ „Cunning Murrel.“ Wszystkie w kolekcji Tauchnitza.

na życie nędzne i szare. Raz po raz zjawia się lekarz i wnet stłumiony jęk, stłumiony płacz zwiastuje, iż przybyła na świat jedna istota więcej, by w pocie czoła, i krwawym trudzie i nędzy iść przez życie wytkniętym szlakiem.

Mimowoli stają w pamięci słowa Daudeta, wypowiedziane w jednej z jego powieści, że w wielkich miastach domy sięgają tak wysoko, ulice tak są ciasne, że oko wzniesione ku górze nie widzi już nieba. Zaczem milkną i gasną wszystkie wyższe, lotniejsze pierwiastki w duszach nigdy nie rwanych w błękity...

Powieść „Cunning Murrel“ jest nowym dowodem ciemnoty i barbarzyństwa, kryjących się pod świetną powłoką angielskiej kultury. Są to dzieje znachora wszechpotężnego, którego czary i zaklęcia splatają się przebiegle z sztuczkami nadmorskiego przemysłnictwa.

Nową ewolucję potężnego, lecz ostrego i szorstkiego talentu Morrisona zapowiada krótka powieść „To London Town“, obraz życia sielskiego przeciwstawionego życiu ubogich, związanych z miastem. Wśród lasu sąsiadującego z zadymioną, zamgloną, bezlitosną stolicą, w ustronnej chacie mieszka stary dziadek z córką i wnukami. Utrzymuje on siebie i swoich łowieniem motyli i owadów, dostarczanych naturalistom i muzeom londyńskim. Utrzymujemy się wśród leśnych pejzaży, szeptu wieczornego konarów, wstrząsanych powiewem zbliżającej się nocy, wśród woni jałowców i macierzanki, wśród pokoju i pogody cienistej samotni, nie nawiedzanej prawie przez ludzi. Prześlicznie odczute i oddane są te opisy głuszy, graniczącej niemal bezpośrednio z gwarem i wirem wielomilionowej stolicy.

Śmierć dziadka zniewala osierociałych do szukania chleba na miejskim bruku. Matka zakłada sklepik, chłopak idzie do warsztatów portowych i zaczyna się życie ciężkie, bez ulgi, którą daje przyroda. I tu dopiero przejawia się przemiana w metodzie twórczej autora. Znika wyłączenie brutalności i bezwzględnej twardości losu. Miłość i miłosierdzie ozłaczają te karty promieniami szlachetniejszych, wyższych uczuć. Nie ubyło siły talentowi, owszem—talent rozszerzył się, wzmochnił nabyciem poezji, wplatającej się nawet w najbiedniejsze życie.

Ten objaw może jednak być także chwilową przemianą nastroju, a nie zwrotem zasadniczym. To, co powstało przed ostatnią powieścią, daje zawsze jeszcze najcharakterystyczniejszą cechę talentu p. Morrisona, ową brutalną siłę, brak miłości i cieplejszej struny. Ale może właśnie największa litość tkwi w tem nagiem, zimnem przedstawieniu niedoli ludzkiej w całej strasznej grozie; może to właśnie jest najlepszym i najskuteczniejszym sposobem wywołania tem większej żądzy postawienia zapory, wprowadzenia w ubezpieczone łożysko tej fali, która prędzej czy później wezbrawszy ponad poziom najwyższy, może zerwać wszystkie tamy, rozlać się z nieprze-partą siłą pustoszącą i niszczącą wszystko, a może zatopić cały świat dzisiejszy, całą cywilizację dzisiejszą w olbrzymiem morzu nowego barbarzyństwa.

Bądź co bądź, te powieści odsłaniają naj-

smutniejsze struny życia społecznego olbrzymiej metropolii trójjedynego królestwa, tego niezwykłego Albionu, który — jak sam głosi w swym narodowym hymnie: „opanował morskie bałwany.“ Ale oby potrafił w danej chwili poskromić rozszalałe fale żądzy i namiętności najniższej warstwy swego społeczeństwa!...

Puk.



NASZ KWESTYONARYUSZ PANIENSKI.



XXXII.

Ponieważ „Bluszcz“ dał prawo głosu wszystkim pannom, a zatem każda z nas powinna korzystać i śmiało w świat rzucać swe poglądy i zapatrywania na kwestyę kobiecą.

Ja ze swej strony zaznaczam tylko silnie, że jestem „panną nie na wydaniu,“ i z tego stanowiska pozwalam sobie skreślić własne swe indywidualne zdanie na życie i w ogóle na rolę w świecie młodej panny.

Marynia Połaniecka to ulubiony typ kobiety w polskiej naszej twórczości, na mnie jednak czyni ona mniej dodatnie wrażenie; nie mam zamiaru ujmować jej cokolwiek z rzeczywistej wartości moralnej, broń Boże, tylko dla mnie nie przedstawia ona skończonego ideału kobiety.

Marynia Połaniecka, biała, czysta kapłanka domowego ogniska, natura bluszczowa, niezdolna samoistnie egzystować, to wzorowa, idealna żona, gospodyni i zapewne matka, lecz czy jest ona prawdziwą w całym tego słowa znaczeniu kobietą? czy gdyby nie znalazła drugiej swojej połowy w osobie Połanieckiego, umiałaby żyć samodzielnie i czemkolwiek własną zaznaczyć indywidualność? Pewną trudność przedstawia odpowiedź na to pytanie. Takich Maryń mamy dość na świecie, i może gdyby wszystkie były takie, jak ona, może wtedy rajby na ziemi zagościł. Na nieszczęście, jest duża liczba mężatek niezadowolonych ze swego losu, rozgoryczonych, zniechęconych do świata i ludzi, chociaż nie zawsze jest tam winą niedobrane małżeństwo, niezgodność charakterów i t. d., częściej niestety główne zło leży w tem, że za mąż wychodzi panna, nie czująca się na siłach do wydolania poważnym i świętym obowiązkiem, idąca jedynie dlatego, że „tak trzeba, tak być musi, to jest przeznaczeniem kobiety,“ i idzie nieprzygotowana, nieudolna, może nawet z innym ideałem życia piastowaniem w sercu. Jednym słowem niewłaściwą zupełnie drogą dla siebie obiera. I jakież z tego korzyść? oto wieczne wzajemne niezadowolenie; słodkie, drogie obowiązki stają się niewolniczymi pętami, i nierzadko wypełnianie ich zamiast prawdziwej korzyści, przeciwnie, nieledwie zgubę przynosi. To, co dla jednej kobiety treść życia stanowi, do której idzie z uśmiechem i pewnością zwycięstwa, — dla drugiej staje się męczarnią, szarpaniem się wewnętrznem, życiem szarem bez jutra. Ta sama jednostka na innym stanowisku mogłaby stać się bardzo nawet pożyteczną, tymczasem w walce z niestosownymi dla siebie warunkami targa bezowocnie siły. Gdy orzeł wzbija się w górę, spróbujmy podciąć mu skrzydła — to raczej pierś swą o twardej zrab skały roztrzaska, niżeli zniży swój lot, choć inne ptaki mniej dumne i ziemię czasami skrzydłami muskają. Tak bywa i z nami, bo nie wszystkiemy zdolne i zdadne do jednakowego lotu.

Ogromne wrażenie zrobiła na mnie nieda-

wno przeczytana powieść, której bohaterka, kobieta z naturą wyrzeźbioną, wysubtelnioną do najwyższego stopnia, która ze swym wyjątkowym umysłem i głęboko rozwiniętą etyką mogłaby w społeczeństwie stać się potężnym filarem i czuje się zdolną do podobnej pracy, tymczasem w związku małżeńskim władze jej moralne jak gdyby zanikają, staje się złą żoną, bo nic nie daje z siebie, złą gospodynią i panią domu, bo dusi ją wprost ciasna atmosfera filisterskiego życia, bo bogato uposażona natura wyrwa się do szerszej działalności, szersze obejmuje widnokreślę. Warunków zupełnie dla siebie nieodpowiednich zmienić nie może; tam, gdzie inne szczęście dla siebie widzą, ona nie znajduje nawet zadowolenia, a zatem czując się nieszczęśliwą i niepożyteczną zupełnie—odbiera sobie życie.

W rzeczywistości spotykamy dość często podobne przykłady, na szczęście z mniej tragicznym zakończeniem smutnej wędrówki, przykłady takie dają nam natury nawet mniej wybitne, mniej wyjątkowo uzdolnione.

Nie jestem przeciwniczką małżeństwa, przeciwnie, uważam je za jedno ze świętych posłannictw na ziemi, tylko nie dla wszystkich panien, i nie jako konieczny warunek życia.

Chociaż małżeństwo wymaga tysiąca poświęceń ze strony kobiety, zawiera też i sporą dozę samolubstwa, wreszcie gonitwy za szczęściem; przeważnie żyje się w niem dla siebie i najbliższej swej rodziny. Nie obwiniam mężatek, ale też i nie wierzę tym, które zapewniają, że oprócz męża, dzieci i domu własnego interesują się światem całym, boli ich jego nędza, oburza niesprawiedliwość i w życiu społecznym czynny biorą udział.

Nie, to wprost niemożliwe, szczególnie to ostatnie: wychowanie dzieci, gospodarstwo domowe i moc drobnych zatrudnień tak dzień szczególnie zapełniają, że doprawdy, chcąc to wszystko wykonać uczciwie, z całym przejęciem się i zrozumieniem, nie można już znaleźć czasu na zajmowanie się czem innym. Wzorowa żona, matka i gospodyni do tego stopnia pochłonięta jest przez pracę, że chwilami czasu jej nie staje nawet na odpoczynek. A co w takim razie stanie się z bezdomnymi sierotami, które ni matki, ni dachu nad głową nie mają? co się stanie z kalekami i chorymi, kto będzie rany im opatrywał, i koł ból serdeczny? co stanie się wreszcie z całą tą nędzą fizyczną i moralną?

A zatem niech wychodzą za mąż tylko te panny, które prawdziwe czują w sobie powołanie, które chcą i mogą rolę swą wypełnić należycie. Wygłaszając te swoje zapatrywania, spotykałam się często ze zdaniem: „Kobieta uczciwa, szlachetna, zawsze wypełni należycie swe obowiązki, w jakichkolwiekby się znalazła warunkach,“ — tymczasem ja się z tem nigdy nie zgadzam. Owszem, wierzę, że będzie chciała wszelkimi siłami godnie odpowiedzieć stanowisku, włoży dużo pracy i dobrych chęci w wypełnienie obowiązków, nawet wbrew przeciwnym dążeniom serca, a jednak mimo to wszystko dzieło pozostanie martwe, bo nie będzie w niem duszy, nie będzie tej iskry poświęcenia się i zaparcia zupełnego, tej iskry, co opromienia najcięższą i najtrudniejszą nawet pracę. Szczęście, to mara zwodnicza, to bańka mydlana, która wnet pryśnie, gdy ją uchwycić chcemy dla siebie; szczęście to kwiat paproci, który... nie zakwita nigdy, próżna więc za niem gonitwa, a zresztą, jak słusznie powiedziała nasza serdeczna pieśniarka Żmichowska: „Celem życia nie jest szczęście, celem życia jest doskonałość.“

Mojem zdaniem jedna tylko rzecz warta jest życia—możność poświęcenia się ludzkości. Mówią, że niezamężna kobieta wcześniej czy później, ale zawsze w końcu zateknie za życiem rodzinnem, za ciepłem własnego domowego ogniska. A przytulki, ochronki z szeregiem ciemnych i jasnych główek, czyż to nie rodzina? a te setki kalek cierpiących, bezdom-

razi wymuszonnością i pretensjonalnością: brak muzyce Mancinellogo nastroju, brak melodyi—jest ona jedynie suchą kombinacją dźwięków, a nazbyt przytem jednostajną. To też pomimo wielu dobrych pomysłów harmoniczych i szczegółów instrumentacyjnych (szkoda tylko, że zbyt często powtarzanych, np. efekt trąbek z tłumikami, nadużycie harfy i t. p.), pomimo doskonałego wykonania partyi głównych przez p. Kruszelnicką i pp. Anselmiego i Sillicha, pomimo wreszcie całej staranności dyrektora Podestiego i reżysera, p. Florjańskiego, aby dzieło kompozytora włoskiego przedstawić w świetle jak najlepszym, zarówno ze strony muzycznej, jak i pod względem okazałości zewnętrznej, znużyło ono i znużyło słuchaczy i nie przysporzyło z pewnością świetnych widoków kasowych teatrowi.

Wielkiem natomiast powodzeniem kasowem cieszyły się występy znakomitej śpiewaczki włoskiej, Gemmy Bellincioni. Słynna artystka wystąpiła z dziesiątek razy, jako Violetta, Małgorzata w „Fauście“, Carmen, Santuzza w „Rycerskości“ i Nedda w „Pajacach“, a za każdym razem teatr był przepelniony. I słusznie. Wprawdzie głos pani Bellincioni nie oparł się skutecznie zębowi wszystko niszczącego czasu: dźwięczy w nim jeszcze metal szlachetny, ale stał się on już mniej podatny do płynności i śpiewności szerokiej kantyleny, do zmieniania, wedle potrzeby, koloru swego, brak mu świeżości, w niektórych zaś jego pozycjach znać spore nawet uszkodzenia (np. dźwięki niższe znacznie tremolują). Braki te jednak sownie okupuje to, czego czas nadwreżyc nie mógł, a więc: technika znakomita, muzykalność wysoka, niepospolita inteligencja artystyczna, smak wytworny i olbrzymi talent aktorski, dzięki któremu gra słynnej artystki odznacza się niebywałą świetnością: naturalna, logiczna, obmyślona starannie, uplanowana jest tak znakomicie, że z biegiem akcji scenicznej przejmując, wzrusza i wstrząsa coraz bardziej. W ogóle o tej grze, o mimice Bellincioni, o jej pozach plastycznych, gestach, wyczuwaniu nastrojów akcji i muzyki, o deklamacji, frazowaniu, o trafnem uchwyceniu charakteru każdej z odtworzonych przez nią postaci, pogłębieniu ich psychologicznem i przeprowadzeniu konsekwentnem a mistrzowskiem od początku do końca, możnaby pisać tomy całe. Cóż dziwnego zatem, że powodzenie stałe towarzyszyło każdemu występowi włoskiej śpiewaczki?

Aby wyczerpać wszystko do dna, co dotyczy opery warszawskiej, nadmienić muszę jeszcze, że wielkiem, jak zwykle, powodzeniem cieszy się wciąż tenorzysta, p. Anselmi, o którym pisałem obszerniej zeszłym razem, że duże uznanie wzbudziły popisy barytonisty, Ancony, śpiewaka obdarzonego pięknym głosem i dużym talentem aktorskim, i że, wreszcie, rozpoczął swoje występy, Mattia Battistini, z którym to faktem rozpoczęła się również nowa serya wybuchów „battistinistów“ i „battistinistek“, tem silniejsza, im silniejszą jest radość, że śpiewak, który miał już nie śpiewać na scenie naszej, którego wielbiciele oplakali już na wszystkie tony i głosy, znów czaruje ich dźwiękiem aksamitnego głosu swego, no... i sztuką pozowania. Barytonista włoski wystąpił już w kilku partyach, wywołując za każdym razem wśród swoich wiernych prawdziwą ekstazę, połączoneą niekiedy nawet z szałem.

Od tej ekstazy przejdźmy do innej, jaką wywołało ukazanie się na estradzie Filharmonii „cudownego dziecka“, Miecia Horszowskiego. Każdy występ genialnego tego chłopca cieszył się tryumfem niezwykłym: na ustach całej Warszawy, na szpaltach wszystkich pism stało jego imię, matki prowadziły swe dzieci, aby oglądać mogły to „cudo.“ O ile ten ostatni objaw nie jest zbyt pożądany, gdyż wywołać może wiele naśladownictwa niebezpiecznego i szkodliwe-

go dla zdrowia naśladowujących, o tyle sam fakt takiego zajęcia się małym Miciem, jest najzupełniej usprawiedliwiony. Stał przed nami nie sztuczny wytwór specjalnej metody wychowawczej, powtarzający z mniejszą lub większą dokładnością to, czego zdołała nauczyć go cierpliwość nauczycieli, lecz prawdziwy fenomen natury, której wielkość podziwiać i uznać musimy, aczkolwiek sił jej tajemniczych, działających na ducha nadzwyczajnego tego dziecka ani zrozumieć, ani wytłómaczyć sobie nie możemy. Dość powiedzieć, że dziewięcioletni Horszowski gra nie tylko, jak wirtuoz wiekiem dojrzały, że techniki, pamięci, poczucia muzycznego, wielkiego smaku artystycznego i umiejętności wnikania w ducha i nastrój kompozycji różnych epok i stylów mógłby mu pozazdrościć niejeden z wybitnych nawet pianistów współczesnych, ale pozwala sobie też na uprawianie niwy kompozytorskiej ze skutkiem nadzwyczajnym, rzecz można, bajecznym w tak młodym wieku. Miniaturowym utworem „cudownego dziecka“ zarówno pod względem treści, zasobnej w melodye ładne i wyraźne, jak i charakteru udatnego, a także pod względem formy i opracowania nie zarzucić nie można. Zupełnie przeto zrozumiałemi są te wrażenia, jakie fenomenalny ten chłopiec z wielką siłą wywarł na warszawski świat muzyczny.

Już to wrażeń na koncertach Filharmonii nie brakuje. Jeszcze z jednych, wywołanych pojawieniem się Miecia Horszowskiego, nie zdołała ochłonać Warszawa, a już zabiegliwa dyrekcja tej instytucji postarała się o dostarczenie nowej ich seryi, równie silnych i trwałych, sprowadzając na jeden z koncertów symfonicznych aż dwóch potentatów sztuki, tej miary, co Yssaye i Rosenthal. Pierwszy słusznie uchodzi za jednego z najznakomitszych w tym szeregu, w którym stoją Barcewicz, Burmester, Marteau, Sarasate i Thomson. Nieposzlakowana czystość i miękkość tonu, idealna dokładność techniczna i szeroka, głęboką falą płynąca, śpiewność kantyleny — oto główne zalety gry Yssaye'a. Jeśli do nich dodamy jeszcze szlachetność i uczuciowość frazowania, wiele wdzięku czarownego i wytworności, nadzwyczajną inteligencję muzyczną, a nadewszystko, urok polotu poetycznego, jakim opromienione są wszystkie produkcje słynnego tego skrzypka, otrzymujemy całość tak skończoną, tak doskonałą, iż wielkiej tej gry, upajającej, i ku niebywałym wyżynom ducha prowadzącej, słuchałoby się bez końca....

Innego nieco rodzaju jest gra Rosenthala, Tu staje przed nami pianista, zjawisko w swoim rodzaju, tytan prawdziwy pod względem siły i wytrzymałości palców i rąk, z niebywałą brawurą igrający poprostu z całym aparatem najzawilszych trudności, które w jego wykonaniu wydają się nieledwie drobnostkami. Jednym słowem, pianista z taką sprawnością techniczną, jakiej nikt chyba, z wyjątkiem może jednego Godowskiego, ze współczesnych mistrzów fortepianu nie posiada. Może—powie kto—w grze tej, obliczonej na odurzający efekt zewnętrzny, pierwiastek duchowy nie zarysowuje się z odpowiednią wyrazistością, może czasem w produkcji artyści chciałoby się dostrzedz więcej fantazyi poetycznej, na to zgoda; gra to jednak olśniewająca, zdolna budzić podziw, graniczący nawet chwilami z oszołomieniem, i dla tego wrażenia niezatarte po sobie zostawia.

O innych koncertach Filharmonii mamy tyle tylko do powiedzenia, że wszystkie udały się doskonale. Udatne popisy trzech kontraltów w osobach pań: Kraus-Osborne, Héglon i Bengell, przypomnienie publiczności warszawskiej dawnej jej ulubienicy p. Miry Heller-Olszewskiej, zaprodukowanie dwóch nieznanych dotąd skrzypków, pp. Geloso i Ten Have'a,

i młodziutkiej pianistki, p. Morsztynówny, popisy dawnych znajomych naszych Grünfelda, Ondrziczka i Lewina, występ Hofmana (o świetnym tym pianiście powiemy obszerniej nieco dalej), wykonanie nieznanego dotąd w Warszawie symfonii czwartej Czajkowskiego, wreszcie wieczór Beethovenowski, na którym wykonany „Egmont“ wywarł duże wrażenie (objaśniający tekst do muzyki, streszczenie wyjątków z tragedji Goethego wypowiedział mistrzowsko dyr. Kotarbiński), oto bilans artystyczny Filharmonii z ostatnich kilku tygodni. Co stwierdziwszy i od dając należne uznanie przedsięwzięciu i ruchliwej dyrekcji, przechodzimy do działalności drugiej naszej instytucji muzycznej, Towarzystwa Muzycznego, które pomimo ciężkich warunków, w jakich się znalazło, nie przestaje jednak wytrwale trzymać się sztandaru, wywieszonego przez siebie przed 37 laty. Wieczory, na które składają się głównie utwory swojskie i popisy sił swojskich, cieszą się w ogóle powodzeniem rzetelnem. Z ich liczby zatrzymujemy się nieco dłużej na dwóch,—jednym, wypełnionym całkowicie grą Józefa Hofmana, drugim zaś, poświęconym wyłącznie twórczości młodego, a wielce utalentowanego kompozytora, p. Wojciecha Gawrońskiego.

Głównymi cechami charakterystycznymi gry Hofmana są: przepyszna technika, doprowadzona do ostatnich prawie krańców wirtuozostwa, rozległa inteligencja, przenikająca najszersze horyzonty myśli wielkich twórców, nerwa młodzięcza, wreszcie artyzm podniosły, gardzący wszelkim efektem lub afektacją. Ztąd też najzawilsze pod względem tematycznym i najeżone największymi trudnościami technicznymi kompozycje wychodzą w jego interpretacji jasno i zrozumiale. Żaden dźwięk nie zatrze się w skomplikowanych rysunkach melodyjnych utworów wielogłosowych, żadna z intencji ideowych kompozytora nie zostanie pominięta lub zepchnięta na plan drugi kosztem ogólnej perspektywy lub architektoniki dzieła. Opanowanie zupełnie zarówno strony duchowej, jak i mechanicznej każdego utworu, a ztąd przedziwna równowaga i spokój składają się na grę prawdziwie wielkotypową, pełną męskiej energii, i ekspresji podniosłej, dalekiej od podniecającego nerwy sentymentalizmu. Jedno jedyne „ale“ w tej grze stanowiła i stanowi pewna niepodatność do wynurzeń lirycznych, wynikająca z natury tonu pianisty, tonu nieco oschłego i o zbyt krótkotrwałej dźwięczności. Potęga jednak i siła tego tonu i umiejętność przeciwstawienia odcieni jego dynamicznych rychło każą zapominać o tem „ale“, wyżej zaś wymienione zalety wraz z wielką oryginalnością w odtworzeniu arcydzieł dawnej i nowszej literatury, nadają popisom Hofmana dziwny jakiś urok, który zapewnia im zawsze powodzenie wielkie i trwałe.

Wieczór, poświęcony twórczości p. Gawrońskiego, dał nam poznać talent niewątpliwy i wiele obiecujący na przyszłość. Młody kompozytor przedstawił cały szereg swoich utworów, poczynając od pierwszych prób, kończąc na świeżo wyszłych z pod jego pióra. I dobrze uczynił, dał bowiem możność słuchaczom śledzenia tej drogi, po której twórczość jego kroczy i rozwija się. Z początku podległa silnym wpływom rozmaitych szkół i kierunków, twórczość ta stopniowo zaczyna szukać sobie drogi samoistnej, i już w ostatnich kompozycjach młodego muzyka spostrzegamy sporo rysów znamienitych, charakteryzujących indywidualność jego nader wyraźnie.

Jeśli dodać do tego, że p. Gawroński posiada sporo inwencji i polotu, że muzyka jego obfituje w melodye płynne i szlachetne, że wreszcie posiada wszystko to, czego można nauczyć się w tak wybornej szkole, jak Noskowskiego (zna dokładnie środki techniczne, włada formą swobodnie, umie każdą rzecz

opracować przejrzyście i wyposażyć w interesujące efekty dynamiki i kolorystyki), dziwić się nie można temu powszechnemu zajęciu, jakie wywołał ten pierwszy debiut w gronie naszym sympatycznego kompozytora. Mamy nadzieję, że, nie będzie on zarazem ostatnim, tem bardziej, że jak słyszeliśmy, p. Gawroński osiedla się na stałe w Warszawie, gdzie zamierza poświęcić się działalności na polu pedagogicznym i wirtuozowskim, jako doskonały pianista, pod kierunkiem Leszetyckiego wykształcony.

Na zakończenie nieco o nowościach muzycznych, których do zanotowania tym razem mam nie wiele. Nakładem firmy Arcta wyszły dwie kompozycje Al—Ara do słów Tetmajera, oraz, co nieobojętnem chyba być powinno dla czytelników, posiadających w domu melodykony lub fisharmonie, 22 preludya organowe, ułożone przez prof. Roguskiego. Te ostatnie korzystnie zalecają się melodyjnością i opracowaniem wzorowem, a bardzo przystępnem. Co się zaś tycze utworów Al—ara, to pierwszy z nich: „Senne marzenie“, stanowi ładne tło w formie walca do poezji Tetmajera pod tym tytułem, drugi zaś, do śpiewu, p. t. „Zawód“, będący, jeśli się nie mylę, czwartą co najmniej próbą stworzenia muzyki przez kompozytorów naszych do jednego i tego samego tekstu (znam kompozycje Żeleńskiego, Noskowskiego i Karłowicza), ujmując polotem melodyjnym, lecz posiada tę wadę, iż jest pisany bez uwzględnienia właściwości przeciętnych głosów ludzkich, i dlatego polecany być może jedynie osobom, obdarzonym organem o wyjątkowej rozległości skali.—„Echo Muzyczne“ wystąpiło z udatnym „Brindisi“ na fortepian lub do śpiewu G. Steffensa, „Meloman“ zaś, który z dniem 1-ym listopada zmienił swą nazwę na „Nowości Muzyczne“, w n-rze 17-ym wydał przesłizne intermezzo z „Livia Quintilli“ w udatnym układzie na wolonczelę H. Waghaltera i kilka innych utworów, z których korzystnie wyróżnia się pieśń E. Poszepczyńskiej p. t. „Szkoda“, do słów Asnyka. Z innych wydawnictw wspomnieć jeszcze należy o podręczniku szkolnym, wydanym nakładem księgarni Sadowskiego, a zawierającym szereg popularnych utworów Moniuszki, Abta, Szuberta, Wagnera i t. d., oraz pieśni ludowych, zebranych i ułożonych umiejętnie na trzy głosy przez doświadczonego muzyka, Felixa Konopaska, oraz o kompozycji p. Leokadyi z Myszyńskich Wojeichowskiej p. t.: „Variations sérieuses“ na fortepian. Te ostatnie, jako utwór poważny i niepowszedni, trzymany w nastroju szlachtetnym, bardzo urozmaicony pod względem rytmicznym, melodyjny i ślicznie opracowany, powinny zainteresować pianistów, rozporządzających wyższą techniką, nie tylko jako dobra muzyka, ale również jako sztuka popisowa.

St. Dziadulewicz.



Z listów do „Bluszczu.“



Kraków, w Listopadzie 1902-go r.

W tym roku wcześniej, niż zwykle, rozpoczął się ruch muzyczny w Krakowie; w roku zeszłym był on nawet dość nikłym. Obecnie zapowiada się wielkie ożywienie: Towarzystwo Muzyczne wystąpiło z wieczorem Moniuszkowskim i z tak popularnymi u nas „Dziadami“, w auli Uniwersyteckiej odbył się Wieczór kameralny Żeleńskiego, z programem „Sonaty skrzypcowej“ i „Tria“, które odegrał wraz z professorami Konserwatorium, a utalento-

wana i wielce obiecująca p. Zofia Filarska ze Lwowa, odspiewała szereg pieśni Żeleńskiego.

Pieśni te były po większej części zupełnie tu nieznanne, jak: „Elegia“ (Kraśińskiego), „Słowiczek“ i „Komu ślubny splatasz wieniec“ (Mickiewicza), „Z łąk i pól“ (Konopnickiej), „Brzozy“, „Cień Chopina“, „Zawód“ (Tetmajera), „Marzenia dziewczyny“ nad program.

Panna Filarska zamierza jeszcze kształcić się za granicą, można wróżyć przyszłość temu pięknemu głosowi i tej artystycznej intuicji.

„Lutnia“ na swoim wieczorze dała poznać „Koncert fortepianowy“ Zarzyckiego, który się bardzo podobał. Chwalono p. Bylickiego za odegranie utworu swojskiego, nieznanego w Krakowie. Zarzyckiego znają u nas i cenią, jako pieśniarza przeważnie. Wirtuozzi zbyt mało dbają o kompozytorów polskich, ztąd i fortepianowe utwory Zarzyckiego grywane są rzadko. Gdy Sarassate wprowadził w świat jego „Mazurka“, a Kochańska piosenkę „Między nami nic nie było“, oba te utwory zyskały europejską sławę i wzięcie. Tylko więcej wiary we własne siły i zamiłowania rzeczy swojskich nam trzeba, a sztuka polska zajmie należne jej stanowisko w świecie. Świadczy o tem dobitnie urządzona świeżo wystawa sztuki polskiej w Wiedniu.

Tryumf na całej linii. Warszawscy korespondenci niezawodnie donieśli, jakie zachwyty wzbudzają w Wiedniu obrazy naszych mistrzów. Niemała to rzecz, wobec panujących przesądów i komplikacji politycznych, zdobyć między Niemcami palmę pierwszeństwa.

W tej chwili Kraków przedewszystkiem zajmuje się Wawelem. Gdy kilka osób zjedzie się na chwilę rozmowy, wnet słyszy się pytania: „Czy widziałeś kaplicę Tetmajera?“ „Skarbiec Mehoffera?“ „Sarkofag królowej Jadwigi?“ Istotnie godne to widzenia dzieła sztuki, i warto karkołomnymi drogami dostać się w drodze łaski na rusztowanie, by podziwiać niedokończone jeszcze, a już tak wspaniałe dzieło. Do Skarbcza jeszcze dotrzeć nam się nie udało, pochwały jednak słyszy się poważne i pełne zapału. O kaplicy Tetmajerowskiej rozpiszemy się po jej ukończeniu, zaznaczając niezmierne bogactwo pomysłów, oryginalność i świetne malowanie. Zainteresowanie w mieście ogromne. Sarkofag królowej Jadwigi jest znakomitem dziełem sztuki. Wielkim artystą okazał się Madeyski, który przygotował nas twórczością lat ostatnich, że co wyjdzie z pod jego dłuta, wywołuje entuzjazm i darzy rzeczywiście artystyczną rozkoszą. Królowa Jadwiga, jak lilia czysta i królewska, spoczywa na wspaniałym swoim sarkofagu. Znaczący podziwiają lekkość i wdzięk draperyi, wyraz twarzy tak uduchowionej, zwraca też uwagę cudownych kształtów prawdziwie ręką królowej. Wypieszczona ta ręka ma tyle szlachtetności i wyrazu, że sama za siebie zdobyć musi miano arcydzieła sztuki rzeźbiarskiej.

Teraz jeszcze słówko o teatrze, stanowiącym główny punkt rozrywek w naszym mieście. Dyrekcya pomimo trudnych okoliczności, wśród których się znajduje, nie ustaje w pracy i ożywia repertuar dziełami tej miary, co „Balladyna“ Słowackiego, lub przygotowująca się właśnie „Nieboska komedya“ Zygmun-

ta Kraśińskiego. Poemat ten będzie po raz pierwszy wystawiony na scenie, nie więc dziwnego, że budzi gorączkowe zajęcie. P. Wysocka zdobywa coraz większe uznanie i stwarza coraz nowe typy. Wielką siłę dramatyczną, szczerość, prawdę i zapał wykazała w roli Balladyny, którą się ogromnie przejęła. „Men bezitzt nur, was man versteht“ — powiedział Goethe w swych aforyzmach. P. Wysocka widocznie przejęła się swoją rolą i publiczność to odczuła i oceniła. Całość przedstawienia zdobyła sobie gorące pochwały. Już sama możność słyszenia ze sceny cudownego języka naszego Słowackiego, sprawia prawdziwą rozkosz. W czasie ostatniego przedstawienia „Balladyny“, orkiestra odegrała muzykę baletową z „Goplany“ Żeleńskiego. Nie jeden ustęp z opery mógłby istotnie stanowić ilustrację dramatu, ale toby przedłużyło i tak nader długo trwające przedstawienie.

Zupełną nowością tegoroczną są przedstawienia poniedziałkowe w teatrze miejskim. Są to koncerty, organizowane przez p. Helle- ra, założyciela Filharmonii lwowskiej. Przesyła on tu taki zagadkowy podarek, do chwili pokazania się afisza nie wiadomo, co dostaniemy, czy artystów cudzoziemskich, czy cudowne dziecko, czy swojskiego muzyka, czy też nareszcie, jak to miało miejsce ostatniego poniedziałku, kompletne przedstawienie operowe, z dekoracyami, kostyumami etc., etc. Wszystkiego było potroszę. Pierwszym balonem próbnym był Zygmunt Stojowski. Ludzi było jeszcze w mieście nie wiele, a ceny dano tak wygórowane, że teatr świecił pustkami. Ci, którzy się cen tych nie ulękli, mieli wysokie zadowolenie, bo Stojowski grał bardzo pięknie „Koncert“ Beethovena z orkiestrą i własną „Fantazyę“, a nad program dodał nowe utwory wykończone z mistrzostwem, a nacechowane nutą swojską w stopniu wyższym, aniżeli to dotychczas bywało. Gra to rozumna i wykwinna, dla miłujących sztukę głębszą, przedstawiać będzie zawsze wiele uroku.

Najbardziej zachwylił tu ogół publiczności Józef Śliwiński swą brawurą i cudownym tonem, pełnym blasku. Zwłaszcza pierwsza produkcja była nadzwyczaj udatna, czarował Chopinem. Nie mniejszego tryumfu doznał ulubiony w Krakowie Barcewicz, gdzie go zwykle witają z entuzjazmem. Wraz z nim, a raczej obok niego, ukazał się sławny już dziś Miecio Horszowski, zadziwiający talent; bodajby spełnił, co zapowiada, pod dobrym kierunkiem mistrza, pod rozumną opieką rodziny!..

Wszyscy słuchając ze zdumieniem i ze wzruszeniem małego wirtuoza, przypominali sobie błogosławiony uczynek owego Amerykanina, który słysząc niegdyś „Józia“ Hofmana, pragnął cudowne dziecko ocalić dla sztuki i zabezpieczył mu zdrową naukę, której zawczesne koncertowanie byłoby stanęło na przeszkodzie. Gdyby Miecio Horszowski spotkał również podobnego przyjaciela sztuki i działu, możebyśmy go nieco później podziwiali, ale już skończonym artystą, spokojni o jego nerwy i zdrowie. Ale... w tej młodości tkwi może talizman uroku. Są ludzie, którzy przepadają właśnie za cudownymi dziećmi i ich grą intuicyjną, świadcząca o darze natchnie-

nia, spływającego wprost z nieba. Dlatego koncerty „cudownych dzieci“ bywają tak licznie uczęszczane, jak gdyby bardziej zajmowała zapowiedź talentu, aniżeli talent w całej pełni.

Przedstawienia operowe, niestety tak rzadko pojawiające się w Krakowie, bo zwykle zdarzają się wtedy, gdy cały Kraków przenosi się w góry lub nad morze, słowem—gdy jest na wakacjach,—mają dla nas urok zakazanego owocu. Cóż dopiero, gdy na afiszu ukaże się imię Alexandra Bandrowskiego i Bohusównej? Pewni miłych wrażeń, podążyli wszyscy do teatru i nie doznali zawodu. Zwłaszcza scena z „Lohengrina“, idealnie wykonana, zachwyciła i uniosła słuchaczy w sfery archanielskie. Imię Bandrowskiego zrosło się nierozdzielny węzeł z tą kreacją Wagnera. Głos, dykcja, gra, wszystko jest doskonale skończonym i artystycznie znakomitem. Obok tego, dawano scenę z „Traviaty“ (Bohusówna, Ludwig), scenę z „Fausta“ i nader poetyczny występ z „Latającego Holendra“. Taka opera niekorzystna, bez chórów, z wyrwanych scen złożona, daje zaledwie przedsmak rozkoszy, jakiej używają szczęśliwe miasta, posiadające stały teatr, wyćwiczoną orkiestrę, dobrych śpiewaków. O tem Kraków, w obecnych warunkach nie może nawet marzyć, trzeba się pierwiej wydobyć z ekonomicznej nędzy i nabrać zamiłowania w sztuce, która tworzy cuda. Zamiłowanie to musiałyby być nie tylko gwałtowne, ale poważne i powszechne—jak np. w Pradze Czeskiej, wtedy skutek byłby niezawodny.

W ostatnim poniedziałkowym wieczorze, wystąpiła znana wam Regina Pinkertówna, która stosownie do rodzaju swego talentu, śpiewała koloratorowe arye Rossiniego, Donizettiego etc., zbierając liczne oklaski za kunsztowne tryle. Wystąpił obok niej kwartet smyczkowy Filharmonii lwowskiej, złożony z młodych artystów, jak się zdaje czeskiego pochodzenia; dał się on poznać ze stron dodatnich, z dobrego bardzo zespołu i subtelności cieniowania. Orkiestrą, jak zawsze, dyrygował wytrawnie p. kapelmistrz Hock. Oklaskiwano ustępy z „Kasi“ Delibes'a.

O bardzo ożywionym ruchu odczytowym, rozpiszę się w następnych listach. Rzeczywiście, pod względem nauki, ożywia nas w Krakowie chwalebny zapał. Uczymy się na zabój! Wszak to najlepsza zapowiedź postępu!

Wykłady w Uniwersytecie gromadzą nader liczną publiczność obu płci. Wszepochętą wszechnicą ześrodkowuje poważne siły naukowe, sama jednak potrzebowałaby materialnego zasiłku. Braki i najpilniejsze potrzeby tej instytucji, wykazał ostatnimi czasy w osobnej broszurze, prof. Maurycy Straszewski; oczywiście szłoby tu o tworzenie nowych katedr i o fundusz na publikacje naukowe, o założenie pracowni w zakresie chemii rolniczej, uprawy roślin, hodowli zwierząt i t. p. O urządzenie ulepszone Instytutu fizycznego, mineralogicznego, zoologicznego, o przeniesienie obserwatorium astronomicznego, w którego miejsce należałoby utworzyć Muzeum botaniczne etc. Słowem jest tych desideratów liczba bardzo poważna,

nad każdą pozycją wzdychać się ze smutkiem, bo każda oznacza dużą sumę pieniędzy, których niema na razie z kąd wziąć.

Doroczna loterya Stowarzyszenia Nauczycielek, udała się, jak zwykle, dobrze, i bardzo była ożywioną. Przybędzie więc znowu trochę książek do zasobnej już Biblioteki, i starszki emerytki zabezpieczone mają choć skromniutki, ale stałe pensyjkę. Z zachwytem czytaliśmy sprawozdanie w pismach warszawskich o świetnym rozwoju waszego stowarzyszenia Nauczycielek. Szczęść Boże w dalszej pracy!

W.



Na półkach księgarskich.



— *Ludwik Woltmann: „Teoria Darwina i demokracja społeczna“.* Przyczynek do historii naturalnej ludzkiego społeczeństwa. Przekład I. Moszczeńskiej. Warszawa. Wydawnictwo „Poradnika dla czytających książki“. 1902 r.

Gdybyśmy chcieli we współczesnym życiu umysłowym odnaleźć główne jego pierwiastki, oraz najwybitniejsze prądy, nurtujące w nim w ostatnich czasach,—doszlibyśmy do wniosku, że są to: ewolucjonizm i demokracja społeczna; dwie te teorie od imienia twórców można nazwać darwinizmem i marksizmem. Gdy się przekonano, że życie społeczne jest właściwie częścią tylko ogólnych zjawisk życiowych, skoro raz przestano w przyrodzie i cywilizacji upatrywać jakościowe przeciwieństwa, to spór o to, czy można przyrodnicze metody do historii stosować, został dla nas już przez to samo ostatecznie rozstrzygnięty. Zbadanie naukowe tych dwóch wyżej wymienionych kierunków: ewolucjonizmu i demokracji społecznej, określenie zachodzącego między nimi stosunku, porównanie ich oraz ostateczne rozstrzygnięcie kwestyi, czy Darwinowska teoria doboru naturalnego i walki o byt zgodna jest, czy też sprzeczną z historycznymi i ekonomicznymi teoriami współczesnej demokracji społecznej—oto zadanie, które postanowił spełnić autor niniejszej pracy. Część pierwsza książki Woltmanna kończy się na uważnym rozpatrzeniu zarzutów, stawianych przez darwinistycznych przeciwników społecznej demokracji, które to zarzuty autor odpiera; nadaje to dziełu charakter polemiczno-krytyczny. Przekład I. Moszczeńskiej pod względem czystości języka nie pozostawia nic do życzenia.

— *Konstancja Łozińska: „W rozterce“.* Powieść. Warszawa. Nakładem księgarni Saturnina Sikorskiego. 1902 r. Tom I. Str. 216.

„*Felix qui potuit rerum cognoscere causam*“, brzmi epigraf położony na czele powieści p. Łozińskiej, Za szczęśliwego mógłby się poczytać ten, kto by po przeczytaniu powieści niniejszej potrafił zdać sobie sprawę z przyczyn, które skłoniły autorkę do jej napisania; praca ta przedsięwzięta została, jak się zdaje, z tem wyrachowaniem, że sam materiał, wybrany za tło książki, będzie dostateczną atrakcją dla czytelników, nie szukających, po za mniej lub bardziej interesującymi przygodami, w utworze belletrystycznym niczego więcej. Nie nie usprawiedliwia również nieprzewidzianego zakończenia o nastroju wybitnie idyllicznym wobec tego, że logiczny bieg wypadków powinienby normalnie do zgola innych doprowadzić wyników.

— *Jan Neruda: „Pieśni kosmiczne i inne“.* Tłumaczył z czeskiego Konrad Zaleski. Str. 77. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1902 r.

Oryginalny pomysł powziął Jan Neruda, jeden z najznakomitszych przedstawicieli piśmiennictwa czeskiego: w ramach drobnych, po większej części trzech lub czterostrofowych piosenek, zawarł wszystkie refleksy, które wzbudza w nim wszechświat. W szczególności sympatya poety ciesz się gwiazdy i księżyc; ten ostatni wierny towarzysz naszej ziemi, nasuwa niezmiernie często Nerudzie porównanie go z zakochanym młodzieńcem. W jednej z piosenek (XIV) zestawia autor młodą ziemię z dziewczęciem, idącym na pierwszy w życiu bal, gdzie tancerzem jej stałym jest księżyc; przy wejściu ziemi do salonu:

„Księżyc w drzwiach czekał ze schyloną głową.

— „O pani! proszę, powiedz mi,
Czy chcesz w tan ze mną? szepnij choć słowo—
Wiecznie na vis-à-vis?“

O ile tłumaczenie odpowiada oryginałowi czeskiemu, osądzić trudno; z tej jednak wiązanki ulotnych wierszyków już można łatwo przyjść do wniosku, że talent czeskiego autora jest iskrą prawdziwie jasną i samoistną.

A. J.



Kronika działalności kobiecej.



— Grono pań z inteligencji wystąpiło do ministeryum spraw wewnętrznych z podaniem o zatwierdzenie ustawy i o pozwolenie założenia w Warszawie nowej instytucji, pod nazwą: „Warszawskiej Kassy leczniczo-pogrzebowo-posagowej dla kobiet pracujących samodzielnie.“

Celem tej nowej instytucji ma być obowiązkowe udzielanie uczestniczkom zapomóg pieniężnych i materyałów spożywczych, w razie choroby i rekonwalescencji. Obowiązkiem instytucji będzie również wyszukiwanie dla uczestniczek odpowiednich zajęć, w razie zażądania udzielanie zapomóg pieniężnych, w wypadku zaś śmierci członkini, opłacanie kosztów pogrzebu.

Inicytorkami i założycielkami nowej Kassy są panie: Marya Małkowska, Edma bar. Kašinowska, Zofia Seidlerowa, Zofia Slicznikowska, d-rowska Zofia Topolska, Leopoldyna Skwarecka, Helena Nowakowska, Regina Rodkiewicz, Stefania Karłowicz i Józefa Starzyńska.

— W stolicy Kroacyi, pani Rosina Eder, obchodziła w zeszłym miesiącu 50 letni jubileusz dobroczynnej swej działalności. Sędziwa jubilatka jest powszechnie znaną, kochaną i szanowaną filantropką. Pani Eder, obdarzona niepożyta energią, niezachwianą miłością kraju, sercem czułym na każdą niedolę i znakomitą myślą organizacyjną, z dumą i wielkim zadowoleniem w duszy, może przy schyłku życia, przebieść myślą bogatą swą działalność. Obok, z przejęciem spełnionych obowiązków żony i matki, znajdowała zawsze czas, gdy ją cel szlachetny do czynu wzywał. Zaczynała już w roku 1854 zorganizowała stowarzyszenie pomocy dla biednych, pracujących kobiet. Zakładała dreblowskie szkółki, tanie kuchnie, szpitale dziecięce, wszędzie gdzie, tylko było potrzeba pomocy tak materyalnej, jak i duchowej, spieszyła pierwsza. Często sama, własną ręką, myła, ubierała i karmiła przygarbione przez siebie sieroty, rozdawała biednym jadło i odzienie, i gorącym słowem dodawała ducha zrozwazonym.

Całe miasto, nieledwie kraj cały zna ją, czci, więc w dzień jubileuszu ze wszech stron odbierała dowody pamięci i najżywszej wdzięczności.

— Komisya rządowa rolna w Washingtonie, zaprosiła w poczet swoich członków miss Henriettę Aiken Kelly i powierzyła jej zaprowadzenie w Stanach Zjednoczonych racjonalnej hodowli jedwabników. Miss Kelly napisała już dwie specjalne broszury o hodowaniu liszek jedwabniczych i plantacji drzew morwowych. Broszury te obudziły ogólne zainteresowanie i naprowadziły rząd na myśl utworzenia kultury jedwabiu na większą skalę.

— W Szwajcaryi, gdzie już od lat kilku dozwolone jest kobietom uczyć się na fakultety prawnicze, pierwszy raz obecnie w Zurychu, doktor prawa kobieta, panna Anna Mackenroth, stawała w sądzie, jako obrońca. Broniła ona sprawy pewnej właścicielki magazynu, która, zaufawszy niecnemu szarla-

Wyprawy od Rb. 100 ze znaczeniem,
Wszelką gotową bieliznę damską i pościelową

POLECA
Specjalny Magazyn

JÓZEFA VETTER

W WARSZAWIE
PLAC TEATRALNY, DOM STĘPKOWSKIEGO

(WIERZBOWA 9).

Cenniki na żądanie bezpłatnie.

M. MANKIELEWICZ

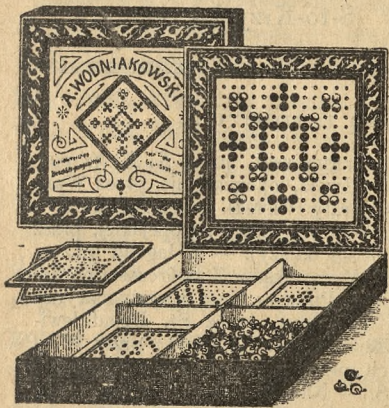
TELEFON № 1456. GMACH TEATRU TELEFON № 1456.

PIERSCIONKI NOWE MODELE
KOLCZYKI: BRYL., PERŁY I KOL. KAMIENIE
BROSZE: BRYL., PERŁY I KOL. KAMIENIE
BRANSOLETY ŁAŃCUSZKOWE
ŁAŃCUCHY DŁUGIE NA SZYJĘ
BRELOKI ZŁOTE, SREBRNE I EMALIOWANE
LUSTERKA ZŁOTE Z KAMIENIAMI
WORECZKI ZŁOTE OD 16 DO 1600 RUBLI
PORTE-VISITES W ZŁOTO OPRAWNE
OŁÓWKI, OBSADKI, NOŻE DO PAPIERU
PAPIEROSNICE ZŁOTE Z KAMIENIAMI
PAPIEROSNICE SREBRNE I EMALIOWANE
ZAPALNICZKI ZŁOTE I SREBRNE
WYROBY SREBRNE: ZASTAWY STOŁOWE,
ZARDINIERY, KANDELABRY, PUHARY,
DZBANY DO WINA, PRZYBORY DO WÓDKI
I LIKIERU, SERWISY DO KAWY I HERBATY,
KOSZYKI, KOMPOTIERY
PRZYBORY DO SAŁATY I RYB
OBJETS D'ART ET DE FANTAISIE RICHE.

NAJWIĘSZY WYBÓR.

REALNE NIZKIE CENY.

Na Gwiazdkę



przysposobiłem dla *dziewczynek* wspaniałą kolekcję **LALEK**, nagich, w koszulkach i ubranych, jak również oddzielne korpusy, główki, różne ich części i ubrania dla lalek. Dalej wzory robótek ręcznych, jak np. wyszywania, wyplatania, rysunków, malowania, szycia ubrań dla lalek i t. p. Dla niemowląt i dzieci ogromny wybór zabawek praktycznych. Dla starszych **chłopców** zajęcia naukowe, a dla **dorosłych**: ruletki francuskie z planami gry, arcaby, szachy, domina, loteryjki, **tenisy** i **krokiety** stołowe z podręcznikami i najrozmaitsze gry towarzyskie. Zamiejscowym **CENNIKI** ilustrowane.

A. Wodniakowski

Specjalista, b. współpracownik fabryk wyrobów gumowych i zabawek zagranicznych. Wydawca podręczników do gier i zabaw angielskich oraz gimnastyk pokojowych.

Skład główny w Warszawie, przy ul. MARSZAŁKOWSKIEJ № 148. Telefonu № 1559.

ZEGARMISTRZOWSTWO PRECYZYJNE.

Adolfa Modro

151, Marszałkowska 151, Warszawa.

Wielki Wybór

Zegarków kieszonkowych damskich i męskich, Regulatorów, Zegarów stołowych, Budzików kieszonkowych i kontrolerów, Dewizek złotych etc.

GWARANCYA.

CENY UMIARKOWANE.



GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE № 55 W WARSZAWIE,

Poleca jako praktyczne podarki na **GWIAZDKĘ**

GARNITURY HERBACIANE FANTAZYJNE.

CHUSTKI, RĘCZNIKI OZDOBNE.

Matinki, Szlafroczy, Bluzki, Bieliznę męską,

DIWANY. SERWETY. KAPY.

NAJLEPSZE
GRAMOFONY
AMERYKAŃSKIE



CENY ZNIŻONE!

Odtwarzają dźwię i głos ludzkiego i muzyki instrumentalnej z nieporównaną dokładnością. Nowe udoskonalone bezszumne płyty ze śpiewami polskich artystek i artystów: p. Korolewiczówny, p. p. Didura, Florjańskiego, Grąbczewskiego i drugih oraz z muzyką instrumentalną o tematach swojskich. Również wielki wybór płyt ze śpiewami najslawniejszych artystów zagranicznych.

Nowe ilustrowane **CENNIKI** gramofonów z **OPISEM** sposobu użycia oraz **SPISY PŁYT** bezpłatnie.

Pierwszy w kraju specjalny skład fonografów i gramofonów przy magazynie optycznym

G. Gerlacha w Warszawie, ulica Czysta 4.

SZLAFROCZKI, MATINKI, HALKI, Spódnice ciepłe i wieczorowe;

KOŁNIERZE koronkowe i **ECHARPES;**

BLUZKI znane z dobrego kroju, jedwabne, sukienne i flanelowe, polecają w wielkim wyborze nowe zupełnie fasony.

F. Bobrowski & Urbański

2. Wierzbowa 2.

!!! Wielki wybór płócien i bielizny stołowej!!!

BEZ
ZAPRZECZENIA

są maszynki gazowo-naftowe

„Primus”

najlepsze. Nie kopca, dają silny ogień, nafty mało zużywają.

EMIL TREPTE

Marszałkowska 147.

Wydawca: *Piotr Laskauer*.— Redaktor: *Maryan Gawalewicz*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Ноября 1902 г.

Druk. Piotra Laskauera i S-ki, Ś-to Krzyzka 11.